

Żyją w naszych marzeniach...

"Mulholland Drive" w Teatrze Horzycy to rzecz mądra, bardzo plastyczna, pozbawiona dłużyzn, pełna niespodzianek i dobrego aktorstwa

Ze wzgórza Mulholland Drive widać śródmieście Los Angeles. Ulica jest na peryferiach, ale przecina duże arterie miasta, w którym rodzą się i umierają marzenia. Do Los Angeles przybywają co roku setki tysięcy młodych ludzi - są spragnieni sławy, fortuny, władzy. Żadne inne miasto tak wiele nie obiecuje i jednocześnie tak okrutnie nie rozlicza się z marzeniami.

Za podszewką Hollywood zagląda "Mulholland Drive" Davida Lyncha. Dzieło doczekało się setek analiz i interpretacji. Niektórzy czytają ten obraz jako konglomerat wielu gatunków filmowych - rodzaj wideoklipu, który syci oko i daje radość z obcowania z wysmakowanymi sekwencjami obrazów. Inni patrzą na "Mulholland Drive" poprzez kategorie groteski, abstrakcji, surrealizmu i psychoanalizy. Siłą filmu jest to, że im większy wysiłek włożymy w jego zrozumienie, tym bardziej nic nie wyda się nam ostateczne.

Dlatego z wielką obawą podszedłem do wiadomości, że spektakl na podstawie tego arcydzieła powstanie w toruńskim teatrze. Ale muszę przyznać, że jestem zachwycony pracą nad teatralną adaptacją dzieła Lyncha. Rzecz dzieli się na trzy akty autorstwa trzech reżyserów. W części zainscenizowanej przez Edytę Wróblewską trafiamy do skromnej kawalerki Diane. Wnętrze jest oświetlone przydymionym metalicznym blaskiem - czujemy się, jakbyśmy znaleźli się w samym środku szarego snu. I tylko kilka barw nas wybudza, jak np. ostra czerwień sukienki Camilli - największej miłości jej życia. Wszystko tu wydaje się niezwykle intensywne - histeria Diane, która masturbuje się tak wściekle, jakby chciała z siebie zdrapać tekturkę; miłość między bohaterkami, która wybuchą nagle i czule; napady złości wzgardzonej kochanki.

Maciej Marczewski wyreżyserował najbardziej realistyczny akt - opowiedział o realiach przemysłu rozrywkowego. Wspaniałą rolę stworzył Bartosz Woźny - wcielił się w Adama, reżysera, który musi się sprzeniewierzyć swoim zasadom. Jakieś ciemne siły rządzące Hollywood narzuciły mu obsadę głównej roli w filmie, który miał mu przynieść chwałę. Chce z tym walczyć, ale traci wszystko, co w życiu wydawało mu się ważne. Woźny pokazał człowieka, który nie rozumie powagi sytuacji, w jakiej się znalazł. Ciemność ostatecznie go łamie i skazuje na kompromis.

Katarzyna Trzaska opisała zaś, jak Hollywood zużywa i niszczy kobiety. W tej części, która odbywa się w garderobach, salach prób i miejscach przesłuchań, postaci kobiece są skonstruowane jak typy - są podstarzałe gorzkie matrony wampy i niewinne podlotki. Trzaska pokazała nam, jaki model kobiecości funkcjonuje w komercyjnym kinie. Jest tu dużo estradowego kiczu, postaci mówią do siebie językiem telenoweli, całość ginie w żywiolowych kolorach, szerokich gestach i tandecie.

Trzaska ujęła mnie tym, że zdecydowała się nawiązać do innych dzieł Lyncha, m.in. słynnego tańca Audrey z "Twin Peaks".

W tym akcie Mirosława Sobik stworzyła jeden z najbardziej wyjątkowych momentów w spektaklu. Zwykle przesłuchanie: jest ona - niedoświadczona aktorka, i on - podstarzały i zmanierowany aktor. Mamy telenowelowy tekst, w którym początkowo mężczyzna góruje, ale aktorka krok po kroku pozbawia go władzy. Michał Marek Ubysz uchwycił właśnie moment, kiedy drapieżnik zmienia się w ofiarę.

Lynch chętnie powtarza, że nie trzeba wiedzieć, o co chodzi w jego filmach, żeby dobrze się bawić. Poszczególne sekwencje u niego stają się czasami autonomicznymi historiami. Tym tropem poszli też reżyserzy toruńskiego spektaklu - skupili się na tym, aby poszczególne sceny miały jak najwięcej sensów, żeby ścierała się w nich niejasna symbolika, żeby treści prowokowały do różnych odczytań. "Mulholland Drive" w Teatrze Horzycy to rzecz mądra, bardzo plastyczna, pozbawiona dłużyzn, pełna niespodzianek i dobrego aktorstwa. Bardzo solidną pracę wykonała Matylda Podfilipska - w jej postaciach rysuje się zagubienie, niemoc, ślepa wiara w swoje powodzenie. Jej kobiety są naiwne i wyrachowane, dziewczęce i zarazem dojrzałe. Znakomicie ogląda się także Marię Kierzkowską, Małgorzatę Abramowicz i Michała Marka Ubysza.

Przeszkadzało mi to, że spektakl próbuje porządkować wątki, które pojawiły się w filmie. Pokusa tłumaczenia Lyncha zapewne jest duża, ale siła "Mulholland Drive" polega na tym, że oglądając ten obraz, powinniśmy czuć rodzaj zagubienia, że oto znaleźliśmy się w pułapce bez wyjścia. Odniosłem wrażenie, że reżyserzy, a zwłaszcza Edyta Wróblewska, usiłują znaleźć klucz do całej Lynchowskiej opowieści.

W filmie jest głośna scena w Club Silencio, w którym główne bohaterki uświadamiają sobie, że wszystko jest iluzją. Rebekah Del Rio z wielkim przejęciem wykonuje piosenkę o nieszczęśliwej miłości. Gdy pada na scenę, dalej słychać jej głos. A w Toruniu słyszymy z playbacku od razu głos meksykańskiej śpiewaczki. Anna Romanowicz-Kozanecka jest odpowiednio przerysowana w roli mistrzyni ceremonii, ale i tak doskonale wiemy, że to wszystko jest marną sztuką. No i przeciętną puentą.

W pewnym momencie uderzyła mnie myśl: po co odtwarzać historię, która dzieje się tysiące kilometrów od nas, a która w żadnym stopniu nas nie dotyczy i nie dotyka? Wokół nas był wielki teatr z całą monstrualną machiną, mrocznymi korytarzami. Przecież nasi aktorzy i reżyserzy żyją w mirażach wielu ludzi marzących o karierze na scenie. W Teatrze Horzycy umarło pełno takich złudzeń.

A może jest tak, że "Mulholland Drive" to nasz zbiorowy sen? I w nim przechodzą przez nas piękne kobiety i wspaniali mężczyźni, przyjaźnią się z nami sławni ludzie. Nas w tym obrazku nie ma - podskórnie jednak czujemy, że ktoś najwyraźniej musiał pomylić się w obsadzie.»

"Żyją w naszych marzeniach"

Grzegorz Giedrys

Gazeta Wyborcza - Toruń nr 15

19-01-2018